

Z teatru

Karloina Beylin

Prosimy autora o wyjaśnienie!

● Marcin Bierzewicz: „STRASZNA ZABAWA“. Teatr Powszechny. Reżyser: Irena Babel. Scenograf: Zofia Wierchowicz. ●

ZACZYNA się to, jak trochę pretensjonalna ale celna satyra na pewne środowisko młodzieży, które nazwacby można skrótem „piwnicznej“.

W nowoczesnie umeblowanym pokoju, w którym nie brak bohemazu, imitującego obraz na ścianie, adaptera, oraz baru z trunkami, spotykają się te młode ponuraki, które pomiędzy jednym a drugim wygibasem rock and rolla smućą się, lub wygłaszają maksymy pseudo-filozoficzne. I oto nagle rodzaj sztuki się zmienia: zamiast satyry, klasyczny niemal kryminal z dwoma trupami i podejrzeniem o morderstwo padającym na każdą z osób, będących w pokoju, przy czym okazuje się, że każdy z nich jest potencjalnym zbrodniarzem, że wszyscy nienawidzili aż do możliwości zamordowania Marii — kobiety, która żyje wyłącznie dla nich i narzuca im swą dobroć. Widz nastawia się już na ten nowy rodzaj, już nawet z zajęciem zaczyna śledzić tok akcji, snując domysły „kto zabił!“ I oto nagle wszystko na nowo się zmienia: nie ma już trupów, nie ma kryminatu, nie ma zagadki, pozostaje żart, wszystko było zabawą.

Wszystko w utworze artystycznym jest możliwe i dopuszczalne, ale pod warunkiem, że musi być zrozumiałe. Niekoniecznie zrozumiałe w znaczeniu realistycznym, ale choćby symboliznym czy przenośnym. Autor „STRASZNEJ ZABAWY“ o tym jednym drobniaku zdaje się zapomnieć. Widz nagle przestaje rozumieć, co się dzieje na scenie. Wszystkie proporcje się pomieszały, postacie realne, jak Fotograf i Lekarz przestają istnieć, milicjant jest co prawda milicjantem, ale podobno nie w każdej chwili realnym. Słowem widz ma ochotę zapytać: Co to było z milicjantem? Kogo udusił na ulicy? Dlaczego „Bohéro“ Ravela? Kto to był epileptyk? Czy zabił go naprawdę, czy na żarty?

Za dużo pytań, na to, by sztuka mogła sprawić widzowi przyjemność. A szkoda, bo postacie stworzone przez autora uderzają prawdą mocnej satyry.

Teatr Powszechny dał wiele znakomych środków ekspresji sztuce nieznanego polskiego autora (podobno pod nazwiskiem Bierzewicza kryją się dwie autorki, mieszkające w Krakowie. Podobno, nazwiska ich są bardzo znane, ale jeszcze nie z ich powodu. Ale dość już plotek...).

Zarówno reżyseria IRENY BABEL, która niestety nie była w stanie rozjaśnić rzeczy niejasnych, jak wykonanie poszczególnych ról było na dużym poziomie.

Dawno niewidziana na scenie ZOFIA GRABOWSKA była udaną Marią, protektorką i opiekunką młodzieży. Nie jej to wina, że autor nawet jej postać splamił bynajmniej nie kryształowymi cechami. „Kociakami“, jak z podręcznika były JANINA NOWICKA w roli namiotnej zdobywczyni Katarzyny, która „Japle“ jak może dzienniarka Jana i IZABELIA HREBNIČKA w roli cynicznej rebelianckiej i smutnej Izy, nie tyle egzystencjalistka ile po prostu rodzina dziewczucha MANUELA KUERNIŁOWNA w roli histerycznej Róży nie osiągnęła poziomu gry swych koleżanek, może dlatego, że autor dał jej rubieżny sprecyzowany typ do reprezentowania.

Trzy różne podpatrzone typy młodych ludzi dał STEFAN RYDEL w roli Jena, RYSZARD BARYCZ znakomicie rozwijający się młody aktor w roli czarującego alkoholika i żygolaka Filipa oraz EDMUND KARBWANSKI jako również jak jego żona histeryczny Marek. Tajemniczego porucznika milicji grał TADEUSZ CZECHOWSKI,

„nieistniejących“ podobno Fotografą i Lekarza — KAZIMIERZ JANUS i CZESŁAW BYSZEWSKI.

Teatr dał więcej niż można się było spodziewać po inscenizacji sztuki, blakającej się po bezdrożach.

Przy okazji tego debiutu narzuca się pewne zagadnienie: czy tak subtelny i doświadczony reżyser jak IRENA BABEL nie mógł wpłynąć na młodziego autora, by zmienił ostatni akt swej sztuki i uratował w ten sposób to, co jest w niej dobrego?

Możliwość takich zmian zależy zapewne w dużym stopniu od tego, czy MARCIN BIERZEWICZ to istotnie... dwie kobiety...

VII ROZMOWA O SZTUCE